

MAX CZORNYJ

KATASTROFA W ANDACH

**Rozbicie samolotu to dopiero początek piekła.
To piekło ma siedem kręgów, a oni zmierzają na sam dół.
Zawsze może być gorzej.**

**HISTORIA
NA
FAKTACH**

FILIA

MAX CZORNYJ

**KATASTROFA
W ANDACH**

FILIA

Ocalatym. Tym, którzy pokonali śmierć.

Zaprawdę, powiadam wam: jeśli będziecie mieć wiarę,
a nie zwątpicie, to nie tylko z figowym drzewem to
uczynicie, ale nawet jeśli powiecie tej górze: „Podnieś
się i rzuć się w morze!”, stanie się.

Ewangelia wg św. Mateusza 21,21*

* Biblia Tysiąclecia, wyd. V, Pallotinum, Poznań 2003.

VALENTINA MORALES
MONTEVIDEO
2.10.1972 R.

– Wysłałam do ciebie list. Powinien już dotrzeć – powiedziała Eva.

– Tak. Listonosz coś wczoraj przyniósł, ale...

Valentina Morales nie chciała powiedzieć, że po prostu o tym zapomniała. Była tak zmęczona, że kiedy wyciągnęła ze skrzynki kopertę, natychmiast rzuciła ją na szafkę w małym przedpokoju jej mikroskopijnej wynajmowanej mieszkanek.

– Ale skoro dzwonisz, możesz wszystko powiedzieć – dodała jednym tchem.

– Rozmowy są drogie. Wiesz o tym, mamó.

– Stać nas, aby czasem porozmawiać.

– Zbyt wiele, by mówić. Dlatego zdecydowałam się napisać list... Już go wysłałam i opłaciłam.

Ostatnie słowo jej córka wypowiedziała ze szczególnym podkreśleniem. Pieniądze coraz częściej stały się głównym tematem ich rozmów. Valentina Morales pracowała w Montevideo na dwóch etatach, wszystko po to, by związać koniec z końcem. I aby móc wspierać córkę na studiach. Była z niej bardzo dumna. Eva jako pierwsza kobieta w ich rodzinie starała się zdobyć wyższe wykształcenie. Do tej pory udało się to jedynie jednemu wujowi Valentyny, który ostatecznie został kierownikiem jakiejś instytucji na prowincji. Poza

tym ich rodzina od pokoleń utrzymywała się z pracy własnych rąk. Ostatnie kryzysy gospodarcze sprawiły, że sytuacja znacznie się pogorszyła. A ponura sprawa z mężem Valentyny... Nie chciała do niej wracać choćby myślami.

– Mamo, muszę kończyć. Przeczytaj, proszę, ten list.

Eva nie czekała na słowa pożegnania. Rozłączyła się i w słuchawce zapadła cisza. Urzędnik, który przed kilkunastoma minutami poinformował ją o nadchodzącym połączeniu, łypnął na nią z ukosa.

– Coś płacę? – Valentina rzadko rozmawiała przez telefon. Skoro jej córka zdecydowała się na tę formę kontaktu, działo się coś ważnego.

– Koszt firmy – odparł z uśmiechem urzędnik.

Valentina nie wiedziała, czy to żart, czy prawda. Przez kolejne godziny pracowała, odczuwając wewnętrzny niepokój. Co takiego mogło się wydarzyć? Dlaczego Eva zadzwoniła? Jej głos nie zdradzał, by stało się coś złego. Jednak przecież jej córka doskonale potrafiła maskować emocje. Tak jak ona. Poza biedą była to jedna z cech dziedziczonych w ich rodzinie.

Po raz pierwszy od lat Valentina Morales wyszła z pracy przed czasem. Co prawda jedynie dwie minuty przed oficjalnym końcem zmiany, ale zazwyczaj to ona jako ostatnia opuszczała posterunek. Sprawdzała, czy wszystkie sprzęty sprząające są na miejscu, czy zamknięto magazynek oraz schowek, a klucze odwieszono na miejsce. To nie były jej obowiązki, ale utarł się zwyczaj, że Valentina Morales dba o wszystko. A ona lubiła mieć taką renomę.

Wróciła do domu najszybciej, jak mogła. Rozważała nawet skorzystanie z taksówki, lecz to stanowiłoby zbyt mocny cios dla jej budżetu. Poza tym ze względu na korki niewiele by to przyspieszyło sprawę.

List znajdował się dokładnie tam, gdzie go zostawiła. Odłożony na samym środku blatu szafki, nosił chilijskie stemple pocztowe. Każdym innym razem Valentina skorzystałaby z krótkiego nożyka do obierania ziemniaków, ale teraz po prostu rozerwała kopertę. Zaczęła pośpiesznie czytać, a z każdym słowem jej serce podchodziło do gardła.

EUSEBIO TEJERA
MONTEVIDEO
8.10.1972 R.

– On umiera! – Krzyk niesie się echem zarówno po pomieszczeniu, jak i wielokrotnie odbija w mojej czaszce. – On umiera, umiera, umiera!

Podciągam rękawy koszuli i opinam je tak, by mi nie przeszkadzały. Robię to bardzo szybko, niemal urywając kawałek materiału.

Ponownie dopadam do ciała i z całą energią kontynuuję reanimację. Ramiona wyprostowane i ułożone prostopadle do klatki piersiowej. Ucisk kieruję na dolną połowę mostka, tak by ten uginał się na pięć, maksymalnie sześć centymetrów.

Raz, dwa, trzy...

Jestem zmęczony, to wymaga wiele wysiłku, lecz nie przerywam. Nie mogę się zatrzymać ani na chwilę. To miałyby nieodwracalne skutki. Śmierć jest nieodwracalna. Od śmierci nie można uciec.

Cztery, pięć, sześć...

Bolą mnie nadgarstki, a po czole spływa kropla potu. W pomieszczeniu jest gorąco i duszno. Mam wrażenie, że para z kilkuset oddechów zawisła w powietrzu niczym mgła. Czuję na sobie baczne spojrzenia. Mimo to nie podnoszę wzroku. Nie zmieniam pozycji ani nie pozwalam sobie na chwilę odpoczynku.

Siedem, osiem, dziewięć!

– On umiera!

Krzyk znowu niesie się dokoła. Może i on umiera, ale ja muszę robić swoje. Żebra uginają się tak mocno, że zaczynają trzeszczeć. Łada moment mogą się złamać. Wbrew pozorom klatka piersiowa jest całkiem krucha. Chroni nasze najważniejsze narządy, z wyjątkiem mózgu, ale to tylko prowizorka. W trakcie reanimacji, kiedy żebra zaczęły już pracować i zrobiły się elastyczne, niewiele brakuje, by je połamać. Toczą się spory, co należy wówczas zrobić. Przerwać reanimację? Kontynuować ją mimo wszystko? Istnieje ryzyko, że ostra kość mogłaby przebić mięsień sercowy. To bardzo mało prawdopodobne, lecz możliwe. Znacznie mniej istotne byłoby przebicie płuca, bo temu można jakoś zaradzić. Poza tym lepiej mieć przebite płuco niż być trupem.

Dziesięć, jedenaście, dwanaście.

Pot spływa mi już po nosie. Zaczynam mieć zadyszkę. Która to seria ucisków? Trzecia, czwarta? W ustach czuję metaliczny posmak zmęczenia. Moje własne serce tłucze się jak szalone.

Trzynaście, czternaście, piętnaście!

Odrywam się od piersi mężczyzny i dopadam do jego twarzy. Dwukrotnie wdmuchuję powietrze do jego ust. Zgodnie z ostatnimi zaleceniami nie zaciśkam skrzydełek nosa. Czuję swój oddech. Jego ciepło omiata mi twarz.

Nic. Cisza. Śmierć.

Trzeba zacząć od nowa. Ale ja nie odpuszczę, choćbym miał się wykończyć. Nie pozwolę mu umrzeć.

Raz, dwa, trzy...

Nagle rozbrzmiewa głośny brzęczyk, a pierś fantoma wypełnia czerwone światło.

– Udało się. Gratulacje! – Profesor uśmiecha się do mnie i klepie mnie po ramieniu. – To była ciężka sprawa. Już myślałem, że pan Emilio naprawdę na dobre umarł. Brawo za upór!

Wokół rozlegają się pojedyncze oklaski innych studentów. To mój mały tryumf. Jestem z siebie dumny. Uratowałem człowieka.

ROBERTO SOSA
MONTEVIDEO
10.10.1972 R.

Esteban był przekonujący. Łączyły ich z Robertem nie tylko studia na wydziale lekarskim, ale i przeszłość. Wspólni znajomi, wspólne oszukiwanie na kartkówkach w szkole Stella Maris, wiele nastoletnich sekretów. Byli dobrymi kumplami. Naprawdę dobrymi.

Esteban Cobos przed laty dołączył do drużyny rugby i ciągał swojego przyjaciela na treningi, lecz Roberto nie lubił tego sportu. Piłka nożna, koszykówka, to mu odpowiadało. Ale rugby? Za mało w nim było finezji i polotu. Zbyt wiele brutalności.

Roberto był wrażliwym dzieckiem. Wesołym, czasem nieco zamkniętym w sobie, ale ogólnie bardzo pogodnym. Jako główne wspomnienie swojego dzieciństwa przywoływał wrażenie, jakie wywarła na nim bajka o Czerwonym Kapturku opowiadana mu przez babcię. Babcia zapewne nawet nie zwróciła uwagi, że tak mocno oddziałuje ona na chłopca. Tyle że w tamtej wersji bajki Czerwony Kapturek na dobre gubił się w lesie i nie docierał do chaty babci. Słyszał w oddali wycie wilka, więc w ogóle nie kierował się w tamtą stronę.

„Strach to zły doradca” – mówiła babcia. A ona była jego wyrocznią i podświadomie kształtowała charakter młodego chłopca. Urzeakały go również jej opowieści

o dziadku, który wyruszył do Europy podczas pierwszej wojny światowej.

Roberto był delikatnym chłopcem, żył marzeniami, ale przyjaźń była dla niego świętością. Wszystkim rządził przypadek, a przypadkiem często rządziły zasady.

– Pojedź z nami na mecz. – Esteban rzucił to mimochodem. Wracali właśnie z wykładu i dopiero co rozmawiali o swojej lekarskiej przyszłości. – Nie mamy kompletu w samolocie, więc za parę groszy zrobisz sobie wycieczkę do Chile.

– Gracie w Santiago? – zapytał Roberto. – To ważny mecz, prawda?

Mecz był towarzyski, Sosa to wiedział, lecz wiedział również, że rozmowa o rugby jest dla jego przyjaciela bardzo istotna. I że dla drużyny Old Christians nie było nieważnych meczy. Przynajmniej od czasu, gdy stracili mistrzostwo. Oczywiście tego ostatniego Roberto nigdy by nie powiedział.

– Mają nieziemskie stadiony – mruknął Esteban. – I jeszcze lepsze cheerleaderki. Żebyś je tylko zobaczył...

– Dopingują w trakcie meczów?

– Przed, po, w trakcie! To kompletny kosmos.

Esteban opowiadał to żartobliwym tonem, uśmiechając się do przyjaciela. Roberto nie zamierzał się opierać. Od razu wiedział, że się zgodzi. W końcu nigdy nie był w Santiago, nauki nie było jeszcze zbyt wiele, a do tego powinien się wyrwać. Wyjazd mógł dobrze mu zrobić.

– Lecimy wojskowym samolotem. – Esteban zmienił temat. – Czarterujemy go dla drużyny i przyjaciół.

– Jak Manchester United?

Manchester United był jednym z ulubionych klubów piłkarskich Roberto. W pokoju miał plakat z drużyną sprzed paru lat.

– Jak Manchester United – przyznał Esteban. – Tyle że...

– Tak, wiem. To głupie porównanie.

Roberto zbyt późno ugryzł się w język i teraz wiedział, że już nie cofnie tych słów. Manchester United był wspaniałym klubem, ale miał pecha do podróży lotniczych. W zespole grało jeszcze kilku piłkarzy pamiętających katastrofę w Monachium. W jednej chwili część klubu została zmieciona z powierzchni ziemi.

– Powiedzmy, że Old Christians to Old Christians – skwitował Roberto. – Bez zapeszenia.

Jego babcia wiedziałaby, co należy zrobić, aby odkręcić zapeszenie. Ale Roberto już wyrósł z tamtych babcinych opowieści. Przynajmniej tak mu się wydawało.

DIEGO DORTA
CARRASCO
11.10.1972 R.

– Mamy robotę – mówi Paolo Montero. – Lecimy we dwóch.

– Ja...

– Nawet tak na mnie nie patrz. Też mam dość.

Diego Dorta, choć jest o kilka lat starszy od Paola, praktykuje pod jego nadzorem. Ma sporo mniej wylatanych godzin i uboższe doświadczenie, dlatego pełni rolę drugiego pilota. Paolo może się poszczycić, że brał udział w katastrofie samolotu i raz awaryjnie skakał z niego na spadochronie. Nie są to co prawda podstawowe wymagania stawiane pierwszym pilotom, ale takie doświadczenie robi wrażenie. Tym bardziej jeśli nadal się żyje i lata. Może to świadczyć o odwadze lub szaleństwie. Albo o jednym i drugim. Każdy może ocenić samemu.

Dorta siedzi w lotniskowym barze i popija yerbę. W godzinach, kiedy pozostaje na służbie, stroni od alkoholu. Niektórzy piloci latają na lekkim rauszu, ale nie on. Tym bardziej że ostatnio ma pecha do tras wymagających szczególnej koncentracji i uwagi. Nie żeby alkohol temu nie sprzyjał, ale...

– Ej, Diego! – Montero kładzie dłoń na jego ramieniu. – Jesteś nachlany czy co?

– Nie, nie...

No właśnie. Takie podejrzenia bywają całkowicie zasadne. Ale Montero powinien wiedzieć, że nie w jego przypadku. Dorta ociera twarz dłońmi. Odsuwa yerbę i marszczy czoło.

– Liczyłem na dwa dni odpoczynku. Szef mnie zapewnił, że...

– Szef ma swojego szefa, a szefem wszystkich szefów są pieniądze.

No tak. Tego się można było spodziewać. Nawet pułkownik nie mógł zagwarantować im spokoju, jeżeli pojawiał się ktoś, kto zamierzał ich najać. A raczej najać samolot urugwajskich sił powietrznych. Od kilku lat było to nie tylko możliwe, ale coraz szerzej praktykowane. Wypożyczanie wojskowego samolotu niczym się nie różniło od najmu auta, mieszkania albo kelnera na imprezę rodzinną. Właśnie tak, Diego miał coraz częściej poczucie, że jest właśnie takim kelnerem do wypożyczenia. Przynajmniej jako pierwszy pilot będzie miał niedługo więcej do powiedzenia.

– Ile? – pyta, choć zna przybliżoną odpowiedź.

– Tysiąc sześćset dolców. To cena za nas, za lot oraz za samolot.

A jednak się pomylił. Myślał, że stawka jest znacznie niższa.

– Dokąd?

– Santiago.

Dorta zagryza usta. Akurat ta informacja go zaskakuje. To dlatego cena jest taka wysoka. Nie chodzi o krótki, miejscowy przelot, ale cholerny lot nad Andami. Montero wykonał ich już kilkadziesiąt, ale

Jak daleko jest w stanie posunąć się człowiek, by przetrwać?

Dalej niż śnicie w najgorszych koszmarach...

O katastrofie lotu 571 słyszał cały świat. Kanibalizm, wola przetrwania, niemal zwierzęce instynkty. Drużyna rugbyistów oraz podróżujących z nimi osób trafiła do piekła. A potem okazało się, że to piekło ma siedem kręgów, a oni zmierzają na sam dół. Każdy kolejny dzień udowadnia, że zawsze może być gorzej.

Istnieje wiele szczegółów, na które dotąd nie zwracano uwagi, a które zmuszają do postawienia pytań. Czy naprawdę o tamtych wydarzeniach wiemy tak dużo? Prawda jest niewiarygodna. Prawda jest makabryczniejsza od najbardziej makabrycznych horrorów.

**Katastrofy i wypadki to tragedie uczestników,
ale również ich rodzin.**

Ta książka to próba spojrzenia na wydarzenia oczami ich uczestników oraz – prawdopodobnie po raz pierwszy – oczami ich bliskich. W przypadku lotu 571 akcja poszukiwawcza była częściowo prowadzona przez członków rodzin zaginionych rugbyistów, uciekano się do czarów, przesądów oraz rozmaitych guseł. Czy w świecie *true crime* jest miejsce na czarną magię? Odpowiedzi możecie się domyśleć.

Narracja pierwszoosobowa sprawi, że poczujecie się, jakbyście naprawdę tam byli. Czy macie odwagę?

cena 49,90 zł

FILIA

Na faktach

ISBN 978-83-8402-417-1



9 788384 024171